

## **Klasa, rasa, rowery, utrata zmysłów i znów o hipokryzji [FELIETON]**

Nie wszyscy postępowcy grzęzną w sprzecznościach. Niektórzy przynajmniej są konsekwentni. Na przykład Sławoj Żiżek, który oświadczył niedawno na spotkaniu w Cambridge, że on jest prawdziwym, ortodoksyjnym marksistą, a zatem jest „radycznie przeciwny” całej tej politycznie poprawnej „obsesji teorią tożsamości i gender”, która, choć ogłasza się jako marksistowska, wcale taką nie jest. Jest to w dziwny sposób pocieszające – pisze Agnieszka Kołakowska w kolejnym felietonie z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”.

Już byliśmy pewni, że rasa zastąpiła klasę. Ale na jakichś mediach społecznościowych (nie wiem, jakich, bo żadnych nie mam; czytałam o tym w gazecie) ktoś w Anglii niedawno napisał, że „nie było żadnego lockdownu – byli tylko ludzie klasy średniej, schowani w swoich domach, i ludzie klasy robotniczej, którzy im różne rzeczy przynosili.”

Swoją drogą, nie jest to bez racji. (Mimo, że „klasy robotniczej” sensu stricto już nie ma.) Ale jak to uzgodnić z resztą intersekcjonalnej narracji, która objęła nasz świat? Narracji, według której ludzie czarni wskutek „strukturalnego rasizmu” umierają na Covid częściej niż biali, ale jednocześnie mają prawo odmówić szczepionki, jeśli jej nie chcą, bo zmuszanie ich do niej byłoby rasizmem? I według której to, co niegdyś

było celem amerykańskiej walki o prawa obywatelskie, to znaczy traktowanie ludzi tak samo bez względu na ich rasę, dziś jest rasizmem, albo w najlepszym wypadku „mikro-agresją”?

Minęły już czasy ukrytej „affirmative action”, tak szkodliwej i niesprawiedliwej dla wszystkich, dzięki której stanowiska czy stypendia na uniwersytetach dostawali kandydaci niekoniecznie najlepsi, ze względu na ich płeć lub kolor skóry. Dziś patrzymy na te czasy z rzewną nostalgią. Dziś bowiem całkiem oficjalnie liczy się właśnie płeć, kolor skóry, pochodzenie i „doświadczenie życiowe”. Rasizmem byłoby branie pod uwagę umiejętności, wiedzę czy kwalifikacje. Ale w istocie liczy się tylko kolor skóry, ewentualnie płeć, nie pochodzenie: człowiek biały z biednej rodziny nie ma szansy. Nie ma czegoś takiego, jak „nieuprzywilejowany” biały; każdy biały jest uprzywilejowany z definicji. Tak samo każdy nieuprzywilejowany jest czarny z definicji, i vice versa.

*Nie ma czegoś takiego, jak „nieuprzywilejowany” biały; każdy biały jest uprzywilejowany z definicji*

Rasizmem jest też, okazuje się, zmuszanie studentów na filologii klasycznej do uczenia się łaciny i greki. Tak

zdecydował amerykański uniwersytet Princeton, w imię „równości”, „sprawiedliwości”, „inkluzywności” i czegoś tam jeszcze. Wynikające z tej decyzji „nowe perspektywy” – takie mianowicie perspektywy, że nikt niczego się nie nauczy – „polepszą tę dziedzinę” i „przyczynią się do stworzenia bardziej ożywionej intelektualnej wspólnoty”, oświadczył jakiś dziekan. Oczywiście! Im mniej ludzie wiedzą, tym

żywsze ich życie intelektualne! Przecież to jasne. Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadliśmy. Ale ukryty cel jest jasny, i gdzieś gdzie został już otwarcie wyartykułowany: zniszczyć całą dziedzinę, ponieważ jest ona rasistowska. Uniemożliwienie ludziom uczenia się greki i łaciny będzie ich wyzwoleniem, sprawiedliwością społeczną i wygraną w walce z rasizmem.

W Oxfordzie studenci chcą, żeby fizyka była łatwiejsza: proszę bardzo, już ją ułatwiamy. Chcą też ją „zdekolonizować”: i to roszczenie niezwłocznie zostało wdrożone. Dekolonizacja fizyki ma polegać na obowiązkowych wykładach o rasizmie Newtona. Zapewne także Kopernika i Galileusza. O wydziałach humanistycznych szkoda czasu mówić: tam już od dawna studenci sami decydują, czego powinni się uczyć (na anglistyce Szekspir i wszyscy inni biali już dawno wypadli z obowiązkowych lektur) i na czym to uczenie powinno polegać. Za co ich rodzice potulnie płacą dziewięć tysięcy funtów rocznie (nie licząc kosztów wiktów i opierunku ani narkotyków).

Administracje uniwersyteckie zacierają ręczki i robią wszystko, by te zmiany wspierać, bo dzięki temu pęcznieją: im więcej problemów z kolonializmem, rasizmem, „mikro-agresjami” i całą resztą, tym więcej potrzeba stanowisk administracyjnych. Postępowi wykładowcy (a więc: prawie wszyscy wykładowcy, zwłaszcza w Oxfordzie) też włączają się w tę walkę. W Oxfordzie 150 wykładowców podpisało list otwarty, oświadczający, że nie będą uczyć studentów z college’u Oriel, póki nie zostanie zdjęty z jego fasady pomnik kolonialisty Cecila Rhodesa, który college ten ufundował. Nie wymyśliłam tego, naprawdę. Walka o obalenie pomnika Rhodesa toczy się od kilku lat, ale ta najnowsza

groteska wpędziła wszystkich w stan bezsilnego osłupienia. Można tylko mieć nadzieję, że studenci college'u Oriel pójną po rozum do głowy i powiedzą, że dziękują za takich wykładowców.\*

Nie wiem, jaki może być do powyższego komentarz prócz wycia grozy i niedowierzania, więc przejdę do Francji, gdzie wirus, który zjada mózgi, też się rozprzestrzenia, choć w nieco inny sposób i jak dotąd nie do tak groteskowego stopnia. W Paryżu Ministerstwo Spraw Zagranicznych wywiesiło wielki plakat o następującej treści: „#Diplomatie feministe”. Wszyscy zastanawiamy się, co to znaczy i co wróży. Przypuszczalnie rychło pojawi się kolejny, o treści: „#Diplomatie Trans”.

Ledwo to przetrawiłam, i widzę restaurację, która ogłasza: „Nous privilégions les ingrédients”. Tu – tak samo, jak na widok plakatu na gmachu ministerstwa – człowiek staje osłupiony i zlewają się w nim dwie reakcje. Pierwsza: naprawdę? Co to znaczy? Druga: czy nie jest to czasem niesprawiedliwe, takie uprzywilejowanie składników? Nad czym? Czy powinniśmy walczyć o prawa dyskryminowanych widelców?

*W Paryżu Ministerstwo Spraw Zagranicznych wywiesiło wielki plakat o następującej treści: „#Diplomatie feministe”. Wszyscy zastanawiamy się, co to znaczy i co wróży*

Tymczasem ulice Paryża przeobraziły się w jeden wielki pas dla rowerzystów, którym wszystko wolno. Obok nich, w imię ochrony środowiska i walki z globalnym ociepleniem,

wydzielają spaliny samochody, bezradnie stojące na jednym wąziutkim pasie w monstrualnych, wielogodzinnych korkach. Nawet pasy dla autobusów zostały przejęte przez rowerzystów. W zeszłym tygodniu jeden z nich, pedałuujący beztrąsko pod prąd wzdłuż mojej jednokierunkowej (i pozbawionej pasa dla rowerzystów) ulicy, na mnie wpadł. Wylądowałałam plackiem na środku jezdni, ale miałam szczęście: nie wpadłam pod samochód, bo akurat żaden nie jechał, i nic nie zламаłam, miałam tylko siniaki i bardzo poharatane kolana. (Co mi przypomniało dzieciństwo: ogarnęło mnie poczucie, że powinnam wspiąć się na jakieś drzewo.) Rowerzysta nie był tym przejęty; wiedział, że nie będę wzywać policji. Poza tym był czarny, więc i tak dobrze, że nie kazał mi przed nim uklęknąć i kajać się za swój rasizm. Zamiast przepraszać, jął mnie pouczać, że bym uważała.

Wracając na koniec do klasy i rasy: nie wszyscy postępowcy grzęzną w sprzecznościach. Niektórzy przynajmniej są konsekwentni. Na przykład Sławoj Żiżek, który oświadczył niedawno na spotkaniu w Cambridge, że owszem, występują tu sprzeczności, ale jego myśl nie jest nimi obarczona, ponieważ on jest prawdziwym, ortodoksyjnym marksistą, a zatem jest „radycznie przeciwny” całej tej politycznie poprawnej „obsesji teorią tożsamości i gender”, która, choć ogłasza się jako marksistowska, wcale taką nie jest. Jest to w dziwny sposób pocieszające. Ktoś – wszystko jedno, że leninowiec – rozróżnił w jasny sposób między czymś a czymś. W obecnej sytuacji całkowitej utraty mózgów i pomieszania wszystkiego ze wszystkim można to docenić. Nawet uznać za rodzaj zdrowego rozsądku. Któż by pomyślał, że do tego dojdziemy?

\* Dodatek z ostatniej chwili: czytam dziś, że wśród wykładowców, bojkotujących studentów z Oriel, jest kilkoro (co najmniej ośmioro), których stanowiska są ufundowane przez dawnych imperialistów, kolonialistów i prace przymusowe. Czwooro z nich korzysta ze stypendiów Leverhulme – fundacji stworzonej na początku dwudziestego wieku przez Lorda Leverhulme’a, który na swoich plantacjach w Belgijskim Congo wykorzystywał przymusową siłę roboczą. Jest wśród nich – czytam – wykładowca w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na UW, Dr. Agnieszka Kościańska, specjalizująca się m.in. w seksualności, gender i LGBT i obecnie przebywająca z wizytą w Oxfordzie dzięki stypendium Leverhulme’a. Jest też, żeby było zabawniej, oxfordzki profesor stosunków rasowych, obejmujący katedrę imienia – trudno uwierzyć – Rhodesa.

*Agnieszka Kołakowska*

*Przeczytaj inne felietony Agnieszki Kołakowskiej z cyklu „Dziękuję za zrozumienie”*



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

